

Prace Mieczysława Jurgielewicz



fot. J. Mierzecka

Raniony

tempera



„Stępy akermanskie”

gwaz



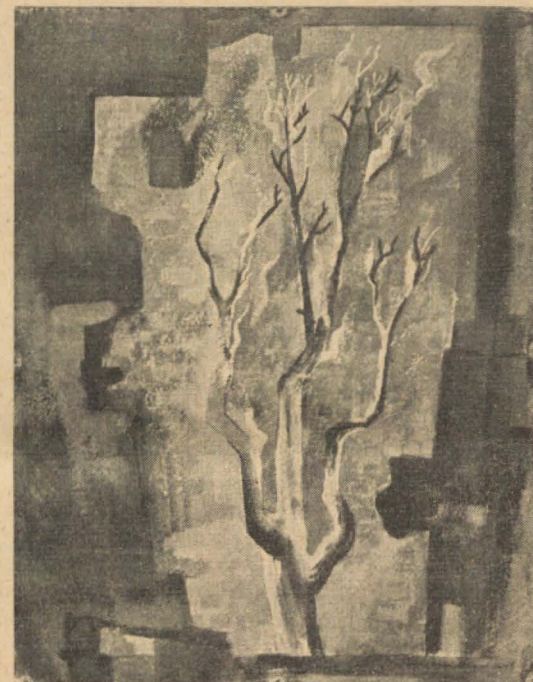
„Bakczysaraj w nocy”

gwaz



„Cisza morską”

gwaz



„Płonące drzewo”

tempera

KRONIKA ZAGRANICZNA

WŁOCHY

DYSKUSJA O KATOLICYZMIE

W lecie zeszłego roku ukazała się na półkach księgarskich Rzymu książka o intrygującym tytule: „Listy do ludzi papieża Celestyna szóstego”. Dzieło to wyszło spod pióra znanego w Polsce katolickiego autora Giovanni Papini, który ukrywszy siebie i swe wstydlive związki z faszyzmem w jednym z włoskich klasztorów, po dłuższym ostrym milczeniu rzucił we włoskie społeczeństwo zbiorem namietnie krytycznych esejów.

Stara modą Papini insynuuje we wstępie do swej najnowszej książki, że jest ona tylko przekładem nieznanego przypadku kodeksu oryginalnych listów hipotetycznego papieża. Łatwiej widzieć było Papiniemu w ten sposób usprawiedliwić prawo do występowania tak gorąco i z taką furją przeciw strasliwym grzechom, toczącym ludzkość po wojnie.

Papini potępia w swym dziele lekkość obyczajów kobiet, bogactwo bogactw, chciwość posiadających, zadręczenie biednych, a nawet Kościół i katolicyzm.

To zwłaszcza ostatnie oskarżenie stało się niewątpliwie główną przyczyną, dla której „Le Tre Venezie”, poważne czasopismo, poświęcone zagadnieniom kultury i wychodzące w Padwie, zamieszczało niedawno na pierwszym miejscu odpowiedzi Papiniemu.

Autor jej — Aldo Ferrarino — ujął tę odpowiedź w formie anonimowego „listu zwykłego człowieka do Celestyna szóstego”.

Ferrarino występując przede wszystkim w obronie Kościoła, zarzuca Papiniemu ni mniej, ni więcej, tylko odstępstwo od katolicyzmu, twierdząc, że ciemna wizja świata, znajdująca wyraz w „Listach do ludzi”, nie zgodzi się nigdy z tą pogodną pewnością, jaka cechuje każdego prostego i wierzącego syna Kościoła, czepiającego optymizmem swój ze zwykłej tylko znajomości katolicyzmu.

„Oświecony wiarą rozum wystarczy najzupełniej — pisze Ferrarino w imieniu katolika — aby nas przekonać o tym, że dach świata jeszcze się na nas nie zawalił. Na cóż więc furia i przerażenie?”

Nie interesuje nas tu jednak oczywiście sama obrona Kościoła, przeprowadzona w sposób jak najbardziej katechizacyjny (o co zresztą autorowi chodziło), ile to, że taką obronę skierowano przeciw Papiniemu, katolikowi, starannie dziś ukrywanej po zacisznych klasztorach, niegdyś dumie Kościoła rzymskiego.

Warto na tę sprawę zwrócić uwagę przede wszystkim dlatego, że katolicyzm jest na terenie włoskim problemem specyficznym, mocno komplikującym się już przez sam fakt istnienia i bezpośredniego oddziaływania polityki Watykanu. Stąd charakterystyczna dla Włoch postać katolika — antyklerykała. Takiemu typowemu stanowisku daje wyraz Gaetano Salvemini w artykule „Dyskusja z szczerym katolikiem (list do przyjaciela w Bari)”, zamieszczony w znanym florenckim czasopiśmie kulturalnym „Belfagor”.

„Antyklerykalizm — pisze Salvemini — zrodził się, historycznie rzecz biorąc, jako obrona przeciw klerykalizmowi i kierowany był przez tych, którzy nie chcieli dopuścić do dyktowania praw przez księży.

Piszerz w tym liście, że jednym z najważniejszych zagadnień politycznych współczesnych Włoch jest uczywanie z katolicyzmu potężnej siły odnowienia etycznego, wychowawczego i politycznego. Ale dlaczego nie oświadczyć tego samego papieżowi, kardynałom, arcybiskupom i biskupom — włoskim? Znaleźliby chyba trochę czasu, aby przyłożyć rękę do tego postulowanego odnowienia? Wydaje mi się jed-

nak, że nigdy o tym nie pomyśleli. Jest to poza tym faktem bezspornym, że we Włoszech, świadomych i praktykujących katolików jest zdecydowana mniejszość.

Partia Ludowa otrzymała w 1919 roku zaledwie 25 proc. głosów. Demochryścijaństwo otrzymało w 1946 roku zaledwie 35 proc. głosów, przy czym większość tych głosów nie należała do świadomych i praktykujących katolików, ale do ludzi, których cała wiara znajduje się w portfelu. Jakim więc prawem mniejszość katolicka pragnie zapewnić sobie przywileje za pomocą konkordatu z papieżem? Można być przeciwnikiem polityki układów z Watykanem, nie łamiąc przy tym żadnego dogmatu Kościoła Katolickiego. Katolicy belgijscy i szwajcarscy nigdy nie chcieli słyszeć o żadnym konkordacie. Katolicy angielscy, amerykańscy i francuscy nie domagają się konkordatu. Don Sturze od 1919 do 1934 r. nie dopominał się o konkordat. Konkordat z 1929 roku zawarty został tajemnie przez Piusa XI i Mussoliniego i Pius XI zadowolony był, że uniknięto rozgłosu, inaczej bowiem do zawarcia konkordatu nie doszłoby. Dziś konkordat żąda Watykan. Jeżeli więc demokracja chrześcijańska nie okazała się niezależna od Watykanu na tym właśnie terenie politycznym, a nie dogmatycznym, lepiej niech przyzna się o twierdzenie do tego, że jest niczym więcej, jak tylko longa manus Watykanu, posługującym się klerykalami jak piątą kolumną pośród prawicy, a demochryścijańcami jak piątą kolumną pośród lewicy.”

J. Adamski.

ZWIĄZEK RADZIECKI

KONKURS NA PIEŚN MASOWĄ

Związek Kompozytorów Radzieckich ogłosił konkurs na najlepszą pieśń masową dla uczczenia święta trzydziestolecia rewolucji. W eliminacjach konkursowych przynależało jury pierwszą nagrodę w kwocie 20.000 rubli kompozytorowi W. Kruczyninowi i poecie P. Germanowi za pieśń pt.: „Trzy dziesięciolecie”. Drugą nagrodę po 15.000 rubli uzyskali ex aequo następujące pieśni: „Chłopiec z naszej ulicy” (muzyka W. Kruczynina, tekst O. Fadiejewej), „Złoty wschód” (muzyka M. Fradkina, tekst E. Dolmatowskiego), „Słzy dwaj przyjaciele” (muzyka B. Mokrousova, tekst A. Fatianowa) i „Słuchajcie, towarzysze” (muzyka M. Blanter, tekst M. Isakowskiego). Trzecia nagroda w wysokości 10.000 rubli przypadła w udziale pięciu kompozytorom i poetom.

PRZEKŁADY SŁOWIAŃSKICH PISARZY NA JĘZYK ROSYJSKI

Radzieckie wydawnictwa przygotowują przekłady prozoków czeskich, bułgarskich, polskich i serbskich. Pierwszy tom przekładów obejmie tłumaczenia czeskiego pisarza Karola Čapka (dramat „Matka”, powieść „Wojna z salamandrami” i nowela „Listy z Anglii”), drugi — poezje opowiadania, publicystykę i artykuły satyryczne klasyka bułgarskiej literatury Christo Botiewa. Polska literatura będzie reprezentowana tomem utworów Elizy Orzeszkowej („Nad Niemnem”, „Meir Ezołowicz”, „Belfagor”).

NOWE FILMY

W studium „Lenfilm” (Leningrad) przystąpiono do nakręcania filmu osnuto na tle powieści Włery Panowej pt.: „Towarzysze podróży”. Film będzie reżyserowany przez dwu młodych adeptów sztuki filmowej: Grannika i Rodionową na podstawie scenariusza Halicia. Powieść Kawierina „Dwaj kapitanowie” filmowana jest przez wytwórnię „Sojuzdetfilm” w reżyserii Pronina. Pisarz Berezki, autor powieści wojennej „Noc dowódcy” zakończył pracę nad scenariuszem filmowym swojej powieści dla „Mosfilmu”. Wreszcie reżyser Rou rozpoczął ekranizację bajki Puszkina „Car Saltan” w naturalnych kolorach.

LUDWIK HIERONIM MORSTIN

Spotkania z ludźmi

Kazimierz Przerwa - Tetmajer

Moje pierwsze spotkanie z Kazimierzem Tetmajerem odbyło się w dramatycznych okolicznościach. Zdarzyła mi się dość zabawna dzisiaj z perspektywy czasu, ale wtedy dla mnie, przykra historia.

Gdy objąłem redakcję „Muzeionu”, rozpisując listy z zaproszeniem współpracowników do wybitnych pisarzy polskich, napisałem także list do Kazimierza Tetmajera. Ponieważ mnie uprzedzono, że to człowiek bardzo drażliwy, napisałem w tonie bardzo hołdowniczym.

Po paru dniach przychodzi jeden z moich przyjaciół i oświadcza mi, że Tetmajer szuka sekundantów, żeby mnie wyzwać na pojedynek. Z największym zdumieniem pytam się, co się mógł obrazić. Otóż pokazało się, że pisząc mój list do Tetmajera przez jakąś dziwną „absence d'esprit” właśnie dlatego, że chciałem przesadzić w komplementach, zakończyłem mój list zdaniem: Przesyłam Panu wyrazy czci, poważania i największego uznania jego wielkiego talentu. To słowo „uznanie” rzeczywiście nieostojne w liście młodego redaktora do wielkiego poety, Tetmajer uznał za obrażenie, lekceważenie, ironię. Co teraz robić? nie będę się przecież strzelał z Kazimierzem Tetmajerem, którego wielbie entuzjastycznie.

Posyłam więc do niego jednego z literatów z oświadczeniem, że go chcę przeprosić, pytam się kiedy mnie może przyjąć. Tetmajer odpowiada posłowny, iż chce się ze mną pojedynkować.

Sytuacja okropna, czuję się ośmieszonym na całe życie.

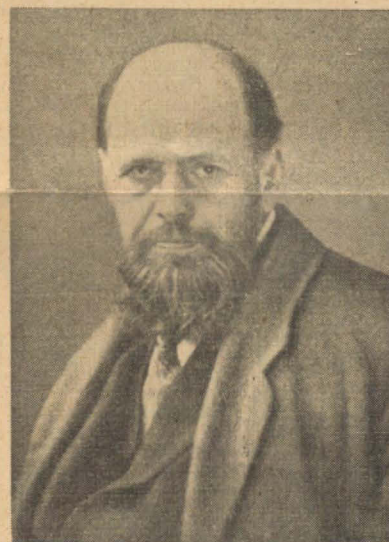
Biorę na odwagę, idę sam osobiście do niego.

Pukam do pokoju hotelu, w którym mieszkał, i wchodzę bez anonsowania się. Przedstawiam mu się i powiadam: może mnie pan za drzwi wyrzucić, ale musi pan wpięć wysłuchać mego usprawiedliwienia. Wiem, że postępuję wbrew kodeksowi honorowemu, ale pan jest za wielkim poetą żebym mógł inaczej postąpić. Tetmajer się uśmiechnął, podał mi rękę i po kilku minutach rozmowy byliśmy najlepszymi przyjaciółmi.

Później on sam tłumaczył mi w ten sposób swoje na mnie oburzenie: ktoś mu powiedział, że jestem siostrzeńcem Stanisława Tarnowskiego (nigdy nie miałem takiego wujaszka), a Tarnow-

ski pisał wtedy o poecie: A co by powiedział pan Tetmajer, gdyby ktoś przeczytał jego wiersze i przejął się jego idealami podpalił kościół Mariacki?

To moje słowo „uznanie” wziął więc za bezczelną ironię, myślał, że jestem podmówiony przez Tarnowskiego, pojął cały list za drwinę i krwią swoją, czy moją, chciał zmyć obrazę honoru.



Kazimierz Przerwa - Tetmajer

To wszystko dziś się wydaje bardzo dziwne. I to oburzenie profesora literatury na lrykę tak mało rewolucyjną, jaka była poezja Tetmajera, i to załatwienie spraw literackich na placu boju z pistoletem pojedykowym w rękę, ale takie były czasy i tacy ludzie, którzy minęli, jak my przemienimy, bo jak mówił Homer: Liście na ziemię strącają wiatry a pokolenia i ludzie nowi rosną a starzy upadają.

Kazimierz Tetmajer był człowiekiem niesłychanie drażliwym i miał zawsze manię prześladowczą. To jego usposobienie było powodem nieprawdopodobnych czasem jego pretensji do ludzi i świata.

I tak w kilka tygodni po tym incydencie ze mną odwiedził go w hotelu Władysław Żeleński, znany muzyk, ojciec Bory. Żeleński, człowiek już wtedy sejdowy, miał zwyczaj mówić bardzo głośno. W czasie tej wizyty i roz-

mowy z Tetmajerem, pogniwany na jakiegoś recenzenta, opowiadał o jego artykule i wykrzykiwał: ten osioł, głupiec i inne tego rodzaju epitetki pod adresem nieszczonego pismaka. A krzyczał tak głośno, że ludzie przechodzący ulicą przystawali i słuchali co się dzieje w tym pokoju. Gdy stary Żeleński wyszedł, Tetmajer skombinował, że ludzie w hotelu w sąsiednich pokojach i na ulicy mogli myśleć, iż to dla niego były przeznaczone te wyzwiska. Poczuł się obrażonym i poszedł do Władysława Żeleńskiego by zadać jakiegoś zadośćuczynienia, nie zdając sobie zapewne sprawy w jakiej formie ma być wyrażone. Ale źle trafił, bo sędziwy artysta strasznie się rozgniewał i słowa osioł, głupiec padły tym razem pod adresem poety, który był zresztą bliskim jego krewnym.

Gdy poznałem Tetmajera, był on owładnięty jedną troską, która zdaje się miała także swe źródło w jego chorobliwym rozdrażnieniu.

Wyszło święto „Na skalnem Podhalu”. Nie zostało tak przyjęte, jak na to zasługiwało. Ani krytyka, ani czytająca publiczność jeszcze się nie zorientowała czym ją obdarzył poeta. Światem herosów, legendarnych harnasów.

To nie poemat o Tatrach, to epos Tatru w całym słowa tego znaczeniu. Epos oór złodowaciących, zamrozożonych, poganskich, niedostępnych, niezdęptanych, zamieszkałych przez lud, którego już dziś nie ma, a może nigdy nie było, o duszy groźnej, rycerskiej, drażliwej, juncackiej.

Ale tak, jak może nigdy nie było Achillesa, Odyseusza, Agamemnona i Hektora, ale jest Grecja Homerowa, tak choć nigdy nie żył taki Janosik, taki Sablik, taki Mardula, i taki Galajda, są Tatry Tetmajera i na zawsze w duszy narodu i w sztuce polskiej zostaną.

Oczywiście, że na to, by taką wizję fantastyczną, a równocześnie bardzo realistyczną i tak tatrzańską jak granit jest tatrzańską stworzyć, musieli poeci z tym ludem, który dziś na Podhalu żyje, łączyć wspólnotę krwi, zmysłu, wyobraźni, musiał tam a nie gdzie indziej się urodzić w Ludzimierzu, który należy do centrów góralszczyzny, gdzie na liczne odpusta Najświętszej Panny zjeżdża się całe Podhale.

Świeżo po ukazaniu się „Na skalnem Podhalu” nie od razu zdano sobie sprawę czym jest ta książka i jakie jej miejsce w historii literatury. Tetmajer nie tylko nie był zadowolony z jej przyjęcia przez krytykę i publiczność, ale bolał nad tym i skarżył się przede mną jak człowiek głęboko nieszczęśliwy.

Nie wiem już, kto i gdzie napisał, że „Podhale” są to przeważnie spisane góralskie powieści i legendy, co oburzyło Tetmajera do głębi i wytrąciło go z równowagi. Stałem się mu wytłumaczyć, że to jest taki nonsens, iż nikt na serio nie może traktować tego zarzutu. Bo trzeba chyba być pozbawionym zdrowego sensu, żeby myśleć, że góral mógł wysnuć te wizje, które mogły wyjść tylko z duszy artysty i poety, spadkobiercy romantyków. Trzeba nie mieć najmniejszego pojęcia o mowie polskiej, by nie widzieć, że gwarą użyta przez Tetmajera jest literackim pomnikiem, wystawionym gwarze góralskiej. Ułana jest z tego samego spiżu, co język dzisiejszych górali, ale spiż ten wlny został w formę wyczelowaną natchnieniem artysty.

Skarżył mi się Tetmajer, że niektórzy z jego powieści ze „Skalnego Podhala” są opowiadane obecnie przez chłopów, jako ich własne, słuchający ich na wycieczkach, biorą to za dobrą monetę. Że mało kto ze śpiewających już wie, iż strofa „Hej idźmy w las, piórko mi się migoce”, nie jest pieśnią chłopską, ale początkiem jego wiersza. Stałem mu się wytłumaczyć, że to nie powód do smutku i rozgoryczenia, ale dumy i radości, bo w ten sposób literatura tworzy życie, jak właściwie sztuka stworzyła całą tak zwaną dziś góralszczyznę. Ale nie mogłem go przekonać. Gniewał się, zżywał, oburzał i groził, że będzie wytaczał proces nie wiadomo komu i za co. Martwił się także, że jego pisma góralskie są tak mało czytane — choć napisał kiedyś, że go to wcale nie martwi.

Genus irritabile vatum, drażliwym jest ród poetów mówi stare łacińskie przysłowie. Jakże często w życiu sprawdziłem słuszność tej maksymy.

Wielką mają oni radość i szczęście tworzenia, ale okupione ono bywa zawyczają zgrzyotą, gdy dzieło ich już w świat poszło i staje się przedmiotem krytyki, napasła, a co najwięcej gnębi, obojętności. Sława ich mało cieszy, ale brak sławy bardzo boli.

Tetmajer, gdy nie gniewał się i nie oburzał, gdy zanadto nad sobą nie bolał i nie skarżył się, był człowiekiem uroczym i jak każdy artysta miał z Bożej łaski wdzięk w obcowaniu z ludźmi i dar wymowy.

Pamiętam, gdy po naszym pojedynku spesziliśmy wieczer przy kielichu, ja mu opowiadałem jak jest u mnie na wsi. Jakże tam dymy mgieł snobiekich wlecząc się po pagórkach ukąpanych w tęczę, jak tany zbóż aż brzęczą, kołysząc ciężkie kłosa urodzajnej ziemi proszowskiej. A on podniecony moją opowieścią zaczął malować swoją wieś rodzinną.

U nas, w Ludzimierzu, było ślicznie, zaczął swoje wspomnienia. Ale nie chcąc z pamięci rekonstruować tego opowiadania, bo z odległości tylu lat trudno by mi było wnieść je do rzeczywistości. Wolę zacytować jego własne słowa z przedmowy do „Skalnego Podhala”, które są streszczeniem tego, co mi całą godzinę wtedy opowiadał. „Dunaję szedł przez wieś popod sam dwór. Były ciche pola, kamienie puste, wieczorem od torfowego ognia, chmura dymu nad wsią, wielki dzwon na Anioł Pański. Były rozlewiska, wodne odmęty, spokojne, przeraźliwie głębokie i głuche, były moczary, koła i obłedy wodne i torfowiska przepastne karłowatą sosną zarosłe. Był las smrekowy pusty, milczący, gdzie tylko szumił wiatr. Były zarosła i zagaje tajemnicze, trwożące, gdzie się księżyc krył i skąd się patrzył, jak upiór z wody wylazły z mętnych topleli Dunajca.

Był na koniec z jednej strony Beskidy, z drugiej Tatry, cały łańcuch, jak stalowy mur.”

Słyszę jego głos rozrzewniły, widzę jego oczy wpatrzony w kraj dziecinstwa, w ciszę zaskloną w powietrzu, a w słońcu iskrujące, zaostrome na załodziach, zamrozożonych Tatrach.

W Ludzimierzu było ślicznie... Wierzę mi, trzeba nie tylko czytać poetów, trzeba żyć z nimi, słuchać jak gwarzą, gawędzą, rozczulają się pięknem, które jest w ich duszy, jak w złocie cymborium przechowane, a magia wspomnień wynosi je na światło. Poezji żywego, mówionego słowa nie zgłusza szelest papieru, dlatego czasem wolę słuchać opowiadań poety, niż czytać najpiękniejsze jego książki.

Ludwik Hieronim Morstin

Teatr »Mały« w Warszawie



„Drzwi zamknięte” J. P. Sartre’a w reżyserii Jerzego Kreczmara
Garcin — Antoni Różycki i Stella — Hanna Bielska

Fot. R. Burzyński

STANISŁAW BRONIEWSKI

POD ARSENAŁEM

Lecz to nawet nie połowa wyliczenia prac, które nagromadziły się przed oddziałem. Akcja była skończona — pozostali ranni. W mieszkaniu na Żoliborzu, później w szpitalu Dzieciątka Jezus leżał Alek (Aleksy Dawidowski). W drugim końcu miasta, w szpitalu Przemienienia Pańskiego — Tadeusz II (Tadeusz Krzyżewicz). A gdy zmrok zapadł, na Mokotowie można było zobaczyć grupkę czterech młodych mężczyzn, przenoszących „coś” w kocu z niezwykłym mozołem i starannością. To „Rudy” (Jan Bytnar) zmienił miejsce swej kucacji, a raczej walki o życie. Z Ursynowskiej na Kazimierzowską, z Kazimierzowskiej na Kielecką. Z Kieleckiej w stanie już prawie beznadziejnym do szpitala Wolskiego. Walka o te trzy gasnące życia została przegrana na całej linii. Nie pomogła najczulsza opieka, nie pomogła wyteżona uwaga nad bezpieczeństwem, nie pomogli najlepsi lekarze, operacje. Jeden po drugim „odmeldowywali” się koledzy. I wreszcie przyszedł taki dzień, w którym grono towarzyszy broni wiozło na powązkowski cmentarz dwie niebiesko-czarne i jedną amarantowo-białą wstążeczkę. Krzyżę Virtuti Militari i Krzyż Walecznych. Na Wojskowych Powązkach rozpoczynało się misterium wokół prawdziwej skarbnicy narodowej. Potem, przy tych pierwszych białych brzoźowych krzyżach wyrosły długie, wiele, wiele za długie szeregi. Na mogiłach pełno było zawsze barwnego, świętego kwiecia. Tu, i tylko tu, szeregi te przestawały być szare.

Wracających z cmentarza kolegów nie czekała w codziennym życiu pustka. Coś się w nich przełamało. Coś dziwnego stało się w te dni, coś się zaczęło. Tam na rogu Bielańskiej i Długiej dojrzała wojna Polska, uświadomili sobie w zawrotnym skrocie, że są ludźmi wolnymi. Wolnymi wtedy, gdy walczą, wolnymi wtedy, gdy pracują, gdy radzą w jakimś lokalu, wolnymi, gdy będą za trzy miesiące nieść tu na powązkowski cmentarz już na zawsze wolnego swego bohaterkiego koleżę, płomiennego dowódcę w boju, chłodnego sztabowca nad mapą i planem — Tadeusza. Dojrzała wolność kupiona za najwyższą cenę, cenę krwi. Kupioną nie dla siebie tylko, lecz dla tych, których ręce błogosławiły ich w ulicznym wirze walki, i dla tych, co na głos strzałów co prędzej zatrzasnęli okna i drzwi. Oddział zrozumiał w owych godzinach, że jest na ścieżce służby Polsce, nie jakiejś abstrakcyjnej, lecz tej która bije w każdym spotkaniu polskim sercu, tak jak zawrotno była w sercach biegających do wolnego życia, byłych więźniów.

Na rogu Bielańskiej i Długiej poznali również chłopcy prawdziwy smak braterstwa. W oddziale i bliskim mu środowisku zagościła pewność jakiejś niezwykłej spójni. Pewność, która wielu miała dodać siły w więzieniach, obozach, w samotności nowoczesnej walki i w cichych cierpieniach na szpitalnej przycy.

Takie zmiany spowodowała akcja w myślach i sercach uczestników. O wiele ważniejsza była jednak jej rola na froncie polsko-niemieckiej walki. Na tym froncie dokonał się przełom. Młot niemieckiej wszechmocy rozwił się bezpowrotnie. Postawa biernego oporu przekształciła się w postawę oporu czynnego. Wewnętrzna niepodległość polskich serc, podsycana dotąd podziemną prasą i uliczną propagandą, przekształcała się w czynną walkę o niepodległość.

Dotychczas podziemne kierownictwo nie raz ogarniał lęk na myśl, że społeczeństwo polskie może nie wyczuć granic terroru. Że może ono dać się kolejno zaprowadzić do krematoriów i wygubić. Akcja na Długiej rozwiała ten lęk. Stało się jasne, że społeczeństwo będzie walczyć i że granica wytrzymałości polskich nerwów jest już całkiem bliska.

Bilans akcji trudno zestawić. Trudno, gdyż, jak w każdym tego rodzaju bilansie, po stronie aktywnych pozostaje wielka niewymierna pozycja — wartości moralne. Ona bardzo często decyduje o wynikach całego bilansu. Poświęciliśmy jej poprzednio słów kilka, teraz więc wypada się zająć wielkościami bardziej wymiernymi.

Uwolniono dwudziestu pięciu więźniów. Wśród nich Janek Bytnara, dla którego cała akcja została przeprowadzona. Między uwolnionymi znalazł się również inny członek oddziału. Hufcowy starszoeharcerskiego Hufca „Praga” — „Heniek”.

„Heniek”, aresztowany był przed miesiącem. Gestapo odnalazło przy nim i rozszyfrowało notatkę, co stało się bezpośrednim powodem aresztowania Janka. Po aresztowaniu tym obaj koledzy byli parę razy w dramatycznych okolicznościach konfrontowani. Teraz „Heniek” odzyskiwał wolność. Tym razem przypadek, który to zrządził, okazał się dla oddziału pomyślny.

Jeszcze jednego człowieka z podziemnego świata uwolniła akcja. Był to kierownik techniczny komórki „Radio”, wybitny i ceniony specjalista. Radość spowodowana jego niespodziewanym powrotem była wielka.

Spółród tych dwudziestu pięciu uwolnionych jedna kobieta zginęła w samej wale. Kobieta tą była p. Siemienińska. Jeden uwolniony mężczyzna ukrył się zaraz po walce w pobliskich ruinach i tam został przez Gestapo odnaleziony. Jeszcze trzecią osobę należałoby skreślić z listyby dwudziestu pięciu uwolnionych. Tym razem był to mężczyzna, który wykombinował sobie, że lepiej samemu zgłosić się z powrotem do więzienia niż ukrywać się w granice podziemnego życia. Sądził, że tą nadmierną lojalnością spowoduje swoje niezwłoczne wypuszczenie z więzienia. Niestety, Gestapo rozumowało inaczej. Został bezwzględnie zatrzymany. Dalsze jego losy nie są znane.

Janek Bytnar — „Rudy” mimo, że zmarł w cztery dni po akcji na skutek odniesionych na śledztwie obrażeń, powinien pozostać na pierwszym miejscu listy definitywnie uwolnionych. To prawda, że odszedł w cztery dni potem, że nie mógł powrócić do swego oddziału. Zmarł jednak wolny, otoczony gronem najbliższych przyjaciół, mogąc ocenić prawdziwe braterstwo, wspólny owoc z takim zapałem prowadzonych prac samowychowawczych.

Straty niemieckie były pokaźne. Zabici zostali: jeden oficer SS, czterech funkcjonariuszów Gestapo w poród osłony konwoju, dwóch lub trzech urzędników „Arbeitsamtu”. Razem siedmiu lub ośmiu. Rannych było jeszcze więcej: dwóch żołnierzy (z opancerzonej ciężarówką), jeden funkcjonariusz Gestapo (ostatni z osłony), czterech lub pięciu urzędników „Arbeitsamtu” i wreszcie dwóch już nie z Niemców, lecz będących w ich służbie granatowych policjantów. Razem dziewięciu lub dziesięciu.

W sprzeczce stracił Niemcy częściowo spalony samochód — więźniarkę, oraz kilka pistoletów. Ponadto z nieznaną ręką zarekwirowano dwa auta, z których jedno następnie wieczorem tego dnia porzucono.

Straty własne, mimo, że nie liczne, okazały się bardzo bolesne. Rany Alka Dawidowskiego i Tadeusza Krzyżewicza okazały się śmiertelne. Odszedł Alek, człowiek niepospolitej odwagi i niepospolitej szlachetności — zda się żywy pomnik dawnych wielkich polskich rycerzy. Odszedł Tadeusz, wspaniale zapowiadający się, zapalony, dzielny i pełen poświęcenia wykładowca wojskowy. Na nich dwu straty się jednak nie kończą. Podczas odwrotu ulicą Długą zwabiony został przez Volksdeutscha Sommera do jego restauracji jeden z młodych bojowników — Hubert Lenk. Zatrzymany i oddany w ręce Gestapo zginął sturtureowany na śledztwie.

I wreszcie ostatnie aktywa. Na Niemców padł strach. Wzmogli czujność. Otoczyli się bunkrami. Wzmocnili konwoje, posterunki. Już następnego dnia po akcji w konwoju auta-więźniarki ukazał się zapelnięty gestapowcami sześciopiętrowy wóz marki „Mercedes”. Sposób jeżdżenia też uległ zmianie. Trasy były ustalane od wypadku do wypadku. Nikt ich nie znał, a szofer w chwili ruszania dowiadywał się w formie rozkazu jazdy, którego dnia tego wypadła mu droga.

Jeszcze jedną inowację wprowadzili Niemcy. W swym gmachu w alei Szuchoa urządzili jakby kaplicę, w której wystawiali poczęli zwłoki poległych w walce gestapowców. Miejsce na katafalku było otąd bez przerwy zajęte. Zamiast zawziętości w stosunku do Polaków makabryczny ten pomysł wzmagał tylko strach, i stał się symbolem ostrzejszej walki, toczącej bez przerwy na froncie polskim.

EPILOG

Akacja na Długiej nie skończyła się dnia 26 marca 1943 roku. Pozostało jeszcze kilka niewyrównanych z Niemcami rachunków. Żył dwóch gestapowców, którzy swym bestialskim zachowaniem się na śledztwach spowodowali śmierć Janka Bytnara. Żył Volksdeutsch Sommer, ten, który zgubił Huberta Lenka.

Zwyrodniałe bestialstwo i służalcza podstępność wymagały przykładnej kary. Oddział nie lubił zalegać z tego rodzaju niezapłaconymi rachunkami.

6 maja 1943 roku, w dniu imienin zmarłego niedawno Janka Bytnara, ginie największy jego kat, gestapowiec Schultz. Ginie prawie w drzwiach swego mieszkalnego domu w Warszawie przy ul. Mokotowskiej 3. Jego biurowy kolega z pokoju nr 228 w „Al. Szuchoa” nazwiskiem Lange, drugi kat Janka, ginie 21 maja tegoż roku na Placu Trzech Krzyży w Warszawie.

Sommer ginie 18 lipca 1943 roku na stacji kolejowej w Józefowie pod Warszawą.

Wszystkie trzy akcje odbyły się bez jakichkolwiek strat własnych. Jedno, co się nie udało, to fakt, że Schultz, który miał być tylko ogłuszony, a następnie wzięty żywcem, celem przesłuchania go w lesie Kabackim pod Warszawą, zginął od razu w akcji. Niewielka strata.

Jakie natomiast były dalsze losy bojowców? Spośród 26 biorących udział w akcji pod Arsenalem trzech zabrała sama akcja, siedmiu poległo w innych walkach dywersyjnych przed Powstaniem Warszawskim, dziewięciu poległo w powstaniu, dwóch losy są nieznane, a pięciu żyje.

O tym, jakich ludzi wychowała akcja pod Arsenalem, świadczyć może ilość uzyskanych przez nich do końca wojny bojowych odznaczeń. Na piersiach dziewiętnastu spośród tejsz dwudziestki szóstki zawisł „Krzyż Walecznych po raz pierwszy”. Dwunastu otrzymało „Krzyż Walecznych po raz drugi”. Trzech — „Krzyż Walecznych po raz trzeci”. Dziewięciu wreszcie odznaczonych zostało „Krzyżem Virtuti Militari V klasy”.

Odznaczenia! Nie sposób tu przemilczeć, jak ustunkowywał się do nich oddział. Dyskutowano te sprawy często, mając zawsze przed oczyma tragiczny błąd poprzedniego pokolenia, górą i chmurą jego młodość oraz zgubną, postawioną w dojrzałych latach tezę, że zasługa jest w społeczeństwie przywilejem, że co gorsze, jest prawo moralne do jej dyskutowania. Zasługa, wyraz rozpowszechniony przez tamto pokolenie jest złym wyrazem. W nim samym kryje się tragiczny błąd, kryje się bowiem pytanie: „na co” — na co zasłużono. I wydaje się, że odpowiedź brzmi — „na nic”, że jest to najintymniejsza sprawa człowieka — zadowolenie ze spełnionego obowiązku.

Stanisław Broniewski

2% DLA KULTURY

Obok szeregu pism periodycznych, poświęcających większość swych łamów zagadnieniom literackim lub im podobnym, popularyzacji literatury służą dodatki kulturalne pism codziennych. Przeważnie ukazują się one raz w tygodniu w niedzielę, w formie odrębnych kolumn, poświęconych wyłącznie tym problemom. Przeglądając natomiast w zwykły powszedni dzień pisma codzienne naogół nie znajdziemy w nich prawie żadnej wzmianki z dziedziny kultury. Oczywiście, nie biorąc pod uwagę drobnych wzmianek informacyjnych, jak np. o przyjeździe pisarzy zagranicznych, czy mianowaniu jakiegoś pisarza polskiego posłem czy ambasadorem R. P. itp. Wiadomości kulturalne w hierarchii udostępniania ich publiczności znajdują się na szarym końcu, a częstokroć po prostu zupełnie nie są uwzględniane. Dobrze więc jeszcze, gdy dziennik ma choć stały, cotygodniowy dodatek kulturalny. A gdy go nie ma?

Na — mniej więcej — 56 kolumn tygodniowo, jakie ma w tym okresie dziennik, jedna przypada na zagadnienia kulturalne. Łatwo jest tedy obliczyć procent, obrazujący udzielanie miejsca przez pismo codzienne problemom kulturalnym. 2% — to stanowczo zbyt optymistyczna cyfra!

Istnieje poza tym u nas, zwłaszcza raczej wśród piszących niż czytelników, jakaś nieuzasadniona, a głęboko natomiast zakorzeniona, pogarda do tej bez przecenienia najpopularniejszej formy propagowania zagadnień kulturalnych wśród szerokiej mas czytelników, jaką są dodatki tygodniowe. Wina leży tu nie tylko w wątpliwej „pojemności” takiej kolumny, gdzie trzeba z konieczności zaciętnie problemy do jak najbardziej lapidarnych form, ale wina istnieje także częstokroć po stronie redagujących te kolumny niedbałe i bez przemyslenia. Stąd czynią one wrażenie przypadkowości ich układu, razą zdawkowością i niekiedy banalnym ujęciem pewnych zagadnień.

Warto więc zastanowić się, jaką powinna być ta kolumna i jaką ma pełnić funkcję, oraz porównać nasze tezy z materiałem jaki posiadamy.

W setnym numerze „Książnicy” napisał Jan Kott:

„Zagadnienie racjonalnego prowadzenia działu kulturalnego w prasie codziennej nie zostało w ogóle dotąd postawione. Wymaga ono niewątpliwie bardzo starannego przemyslenia. Dział kulturalny pism codziennych powinien postawić sobie za zadanie: popularyzację i informację. Popularyzację, a więc objaśniania i przedruków fragmentów z książek, wydanych obecnie czy nawet dawniej, przedruki artykułów z pism specjalnych. Przedruk nie jest oczywiście prostą wyynecanką; popularyzacja, wybór cytat, dobra informacja i streszczenie są technikami równie trudnymi, jak pisanie prac oryginalnych. A brak nam przede wszystkim dobrych informatorów i popularizatorów. Przy niewielkich nakładach książek, przy bardzo małej ilości bibliotek, przy ciągle jeszcze wąskim zasięgu pism specjalnych, na prasę codzienną spada ogromny obowiązek popularyzacji, przeniesienia życia umysłowego poza zaszarowany krąg elity kulturalnej. Trzeba popularyzować współczesną problematykę kulturalną, a nie namiastki myśli i landeet artystycznej. Jest to znowu zagadnienie organizacyjne”.

Rozumie podkreśla Kott, że zagadnienie nie są tak bałe, jakby mogło się na pozór wydawać. Zasięg wielkich pism codziennych jest co najmniej dziesięciokrotnie większy niż specjalnych pism literackich. Ogarniają one tym samym szerszy krąg czytelników, docierając do tych, którzy o literaturze i jej problematyce dowiedzą się wyłącznie ze szpałt dzienników.

Dodatki kulturalne pism stołecznych, gdyż do tego zakresu ograniczamy swój przegląd można zgrabnie podzielić na dwa typy: pierwsze stanowiąc będą o zdecydowanym światopoglądzie społecznym i artystycznym, opartym na przepracowanych i przemysłowych tezach polityki kulturalnej, drugi natomiast typ redagowania polegać będzie wyłącznie na relacjonowaniu zdarzeń i faktów kulturalnych. Te kryteria podziału pozwalają na zorientowanie się w polityce redakcyjnej działu kulturalnego, niejako warunkując postawę wobec zachodzących wydarzeń kulturalnych. Trudno oczywiście nakreślić ścisłą linię demarkacyjną. Nie mniej jednak, wyznaczając te właśnie typy dodatków, możemy zorientować się i zaopiniować o wartości dodatków kulturalnych pism warszawskich. Do pierwszego typu zaliczymy dodatki: „Głosu Ludu”, „Robotnika”, „Polski Zbrojnej” i pomekąd „Dziennika Ludowego”; do drugiego dodatki: „Kufiera Codziennego” czy też „Gazety Ludowej”. Ale jeśli chodzi o ten ostatni — to sprawa specjalna.

Kolumna kulturalna „Głosu Ludu”, redagowana żywo i inteligentnie przez Hieronima E. Michalskiego, wyróżnia się zdeklarowanym obliczem ideowym. Obok częstych artykułów redaktora działu ukazują się tu artykułyki czy recenzje B. Dudzińskiego i H. Zatorskiej. Poza tym dodatki ten przynosi często narodowe słowiańskich. W „Robotniku” dział kulturalny prowadzi Leopold Lewin, najczęściej pisując Marian Piechal, Grzegorz Timofiejew, Wanda Kragen i inni. „Dziennik Ludowy” ma oczywiście specyficzny typ kolumny, poświę-

conej głównie zagadnieniom problematyki literatury ludowej, publikując prace, redagujące ten dział Jana Kłono-wicza oraz współpracujących z pismem: Stanisława Piętaka, Edwarda Marca, Józefa Mortona, Witolda Nowiny, Kazimierza Kosińskiego i innych. W „Polsce Zbrojnej” dodatek literacki, obejmujący dwie kolumny niedzielnego wydania tego pisma, redagowany jest przez Ryszarda Matuszewskiego według recepty Jana Kotta, wyżej przez nas podanej. Miłym wyjątkiem jest „Kurier Codzienny”, na łamach którego zagadnienia kulturalne poruszane są niemal codziennie w specjalnej rubryce „Myśli i fakty” przez Jotkę. Zagadnienia tu omawiane są wszechstronnie i ciekawie. Poza tą rubryką stała, prawie codziennie znajdujemy artykuły na tematy kulturalne. O teatrze pisują August Grodzicki, Tadeusz Kwiatkowski, o muzyce Witold Rudziński. Natomiast żadnego działu kulturalnego nie posiadają dwa największe, poza organami partyjnymi, dzienniki stolicy, „Rzeczpospolita” i „Życie Warszawy”. Co najmniej — dziwne.

W tych wszystkich dodatkach uderza brak oceny książek. Jest to ich plaga nagminna.

Natomiast to wszystko znajdujemy w dodatku literackim „Gazety Ludowej”, który służył redakcji pisma nie tylko do czysto kulturalnych celów. Wprost przeciwnie — raczej do niekulturalnych na paści na pisarzy obozu demokratycznego. Co innego jest zwalczanie pisarzy w imię jakiegoś programu kulturalnego a co innego napaści pod pozorem „krytyki”.

Sprawę tę poruszył „Dziennik Ludowy” na łamach dodatku literackiego z dnia 1 listopada, pisząc:

Zapytujemy więc: czy po zmianach jakie zaszły w łonie redakcji „Gazety Ludowej” zmieni i swój charakter dodatek literacki tego pisma czy też nadal pozostanie terenem harców różnych panów, podgrzyżających kulturę polską i tym samym walczących z demokracją.

lmb.

COŚ O MISTYCE

Jerzego Brauna, apostoła polskiego mistycyzmu, nawiedzają często natychmiast mesjanistyczno-religijno-apokaliptyczne. W nr 44 „Tygodnika Warszawskiego” („Polska a humanizm chrześcijański”) rozwija Braun bardzo mętną teorię, przy pomocy której stara się nas przekonać, że wszystkie pozytywne osiągnięcia historyczne zawdzięcza naród polski kościołowi i „ustawicznie obecności jakiejś olbrzymiej myśli Bożej”. Ostatni mohikanin polskiego mesjanizmu cierpi na obsesję historyzofizmu, która przybiera zastraszające wprost formy.

U samego korzenia naszej misji dziejowej — pisze Braun — jakby poza naszą wiedzą i wolą, założona została jakaś wielka i tajemnicza sprawa, jedna z tych historycznych „rationes seminales”, których nieuchwytna entelechia kształtowała ma — ponad świadomością epok — dzieło wieczne, Nowe Jeruzalem z Apokalipsy, Królestwo Boże.

Zdaje się, że Braun zbiera się nawet powtórnie ochrzcić Polskę, z okazji zbliżającej się rocznicy tysiąclecia istnienia naszego państwa. Posłuchajmy więc co mówi na ten temat nowoczesny Jan, pardon, Jerzy Chrzcziciel.

Zbliżające się tysiąclecie państwa polskiego zamyka jakby tytaniczną kłamrą tę kłęgą pielgrzymstwa naszego narodu. Przez świat idzie szeroka fala materializmu i laicyzmu, pragnącego urządzić życie zborowe bez Boga. Musimy Polskę ochrzcić powtórnie, ale już nie z wody jedynie, ale z Ducha Świętego.

Idealem Jerzego Brauna jest — jak łatwo się domyślić — średniowiecze, a więc okres, w którym kościół był nie tylko ostatnią instancją w sprawach religijnych, lecz także decydującym czynnikiem politycznym w Europie.

W szczególności średniowiecze — czytamy — skonstruowało ład społeczny i moralny, który uczynił nieołącznymi te dwie zasady: boską i ludzką — cel religijny historii i cel polityczno-materialny. W tym też okresie krystalizują się i dojrzejają wszystkie narody europejskie, manifestując się przez odrębność języka i przez swą rodzimą twórczość kulturalną.

Niestety równowaga ta pękła niedługo, ustępując miejsca długotrwałej walce między duchem a materią, wiarą i rozumem, Kościołem i państwem, a najogólniej biorąc — między humanizmem laickim i humanizmem chrześcijańskim. Do jakich rezultatów doprowadziła ta walka, wiemy dziś dobrze.

My również wiemy. Jerzy Braun chce cofnąć bieg dziejów o kilka wieków wstecz. Za późno.

rk

U PROGU NOWEGO „WYCHOWANIA” CZYLI HISTORIA O DWU MINISTRACH

Pan Hundhammer jest ministrem kultury w Bawarii, dr Hurdes natomiast ministrem oświaty w Austrii. Pierwszemu podlegają uniwersytety bawarskie, drugiemu zaś całe szkolnictwo austriackie. Obaj panowie ministrowie mają, z racji swojego urzędu decydujący wpływ na szkolnictwo i wychowanie młodego pokolenia w wymienionych krajach. Fakt ten nie zasługiwałby na większą uwagę, gdyby nie wypowiedzi obu mężów stanu na temat zagadnień wychowawczych. nurtujących powojenną rze-

czywistość Austrii i Bawarii. Naiwni myślicyby, że zainteresowanie obu ministrów skupia się na sprawie wykorzystania resztek hitlerizmu w duszach młodych wychowanków. Nic podobnego.

Minister Hundhammer jest pochłonięty wprowadzeniem... chłosty do szkolnictwa bawarskiego i z tej okazji oświadczył dziennikarzowi berlińskiemu pisma młodzieżowego („Start” nr. 38) co następuje:

Już w księdze „Hlob” dowiadujemy się o twardej ręce Boga. W jakimś sposób można poskromić niesfornych łobuziaków? Kara chłosty jest stara jak świat. Jestem katolikiem i federalistą i z tego powodu narażony na ataki niektórych ludzi. Zarządzenie w sprawie chłosty jest tylko pretekstem dla skierowanych przeciwko mnie ataków. Przecież w Anglii istnieje również kara chłosty. A może chce pan twierdzić, że Anglia jest państwem reakcyjnym? Pestalozzi napotykał także na trudności w propagowaniu swoich idei. Ja, podobnie jak Pestalozzi...” itd.

Dr Hurdes emocjonuje się na odmianę zagadnieniem pochodzenia człowieka i krytyką darwinizmu, o którym — nawiasem mówiąc — nie ma zielonego pojęcia.

Nie wypada — oświadczył w 1947 r. austriacki minister oświaty — by, skoro prawi się młodzieży w czasie nauki religii, że człowiek jest tworem pąkli bożej, nauczyciel przyrody pouczał już na następnej lekcji, że człowiek pochodzi od małpy. („Osterreichisches Tagebuch” nr. 34).

Minister Hundhammer chce wypędzić diabła z bawarskich tyłków bykowcem, powołując się przytem na najbardziej zacofaną instytucję zwyczajowego prawa angielskiego (w Anglii stosuje się zresztą karę chłosty nie w szkołach lecz w więzieniach). Dlaczego zasnania swoje teapetwo autorytetem Pestalozziego bądź co bądź jednego z najświatlejszych pedagogów Europy, to już chyba pozostanie tajemnicą samego „Kulturministra”. Jego austriacki kolega, który chyba czerpał wiadomości o teorii Darwina z małych procesów w Stanach Zjednoczonych, przejawia nie mniejszą inicjatywę na terenie Austrii. Propaganda dra Hurdesa może jednak wywołać zgła nieoczekiwany skutek: protest małej części świata przeciw niektórym rzekomym swoim potomkom.

rk

CO WOLNO I CZEGO NIE WOLNO W USA?

Normalnie i zdrowo myślący Europejczyk który zachował po ostatniej wojnie światowej resztki zdrowego sensu, może popaść — delikatnie mówiąc — w lekką melancholię po przestudiowaniu kilku dzienników tak zwanej prasy Hearsta. Mówią wprawdzie, że co kraj to obyczaj... ale — jak twierdził starożytny Rzymianin — est modus in rebus. „American Weekly” podaje wiadomość o przepisie, obowiązującym od ilus tam lat do tej pory, w niektórych stanach Ameryki i w związku tym nasuwają się pytania, na które trudno znaleźć rozsądną odpowiedź. Bo proszę, drogi czytelniku wytumaczcie dlaczego:

W stanie Georgia uchodzi za bezkarne wieszanie na gałęziach drzew murzynów, natomiast w stanie Minnesota — nie wolno wieszać na jednym i tym samym sznurze męskiej i damskiej bielizny?

Wolno wyrażać w całej Ameryce niegrzecznej Europie bomb atomową, zakazane zaś jest według przepisów prawnych, obowiązujących w stanie Minnesota karcieć niesforną małżonkę kijem grubszym niż na dwa palce?

Można w niedzielę wyprosić z każdej restauracji i hotelu murzyną, nie wolno natomiast w stanie Indiana sprzedawać w niedzielę kotletów mięsnych?

Można by takich pytań zadać więcej, ale nie chcemy na razie komplikować i tak zawiłych już spraw. Może ktoś z czytelników znajdzie jakąś rozsądną odpowiedź, bo nam zaiste trudno.

rk

Konkurs na napisanie sztuki dla teatrów ludowych

Wojewódzka Rada Narodowa i Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego Łódzkiego ogłaszają

konkurs

na napisanie sztuki dla teatrów ludowych.

Za najlepsze utwory ustanowiono dwie nagrody w wysokości:

- I. 50.000 zł.
- II. 30.000 zł.

Skład sądu konkursowego zostanie podany oddzielnie. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 31.XII 1947 r. Termin ogłoszenia wyników konkursu ustalono na dzień 31.I.1948 r.

Do utworów nie podpisanych, lecz opatrzonych godłem należy dołączyć kopertę, zawierającą: imię, nazwisko i adres autora i przesłać do Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki w Łodzi, ul. Traugutta 8. II p.